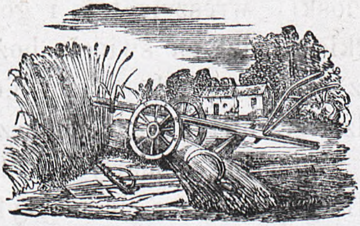
Tom III. 21. Marca 1871. Nr. 9.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sąsiedzka zgoda.

(Powiastka.)

Stary Grzegorz Niwiak w Zalesiu, toż to był gospodarz. Chacisko miał stare, ale choć grosza miał sporo, nie chciał nowej chaty budować, i mawiał: Na co mi tego, dzieci zaopatrzyłem i na własnych osadziłem gospodarstwach, kobiecinę Bóg zabrał do siebie, ta na co staremu nowej chaty. Co grosza jest, to dzieciom zostanie, niechże sobie potem budują na moją pamiątkę. Tak mawiał Grzegorz, i siedział wciąż w starej swej chacie. A miło mu tam było i jakoś domowo. W lecie bocianisko klekce nad strzechą, a niemało już lat przeklekotał, bo co roku wraca, i stary już dziś także. I psisko u wrot poszczekuje na przechodnia, stare wierne psisko. I dobrze było Grzegorzowi. Pola on już nie uprawia, bo grunta między dzieci rozdał; ogródek tylko sobie zachował, i pasieczkę małą na starość urządził w ogródku. Łazi starowina po ogródku przez cały boży dzionek to do kwiatka zagada i zaśmieje się, to wiszenkom się przypatrzy, czy ścigną już, to jabłonki ogląda — to pszczółki odwiedzi. A jakiś ciągle wesół i szczęśliwy. Tak mu schodzi dzień za dniem, — czasem dzieci swe odwiedzi, to do niego ktoś zawita na radę lub pogadankę. A w niedzielę lub święto to już

to raj dla niego. Bierze z kołka sukmanę fałdzistą i sunie do kościółka. Tu pomodli się do Boga o szczęście dla swojej rodziny, dla całej wioski, wreszcie też i gorąco westchnie za cały kraj, i wszystkich ludzi na świecie bożym. Wysłucha kazania, co go ksiądz proboszcz tak wymownie prawi, a w końcu po nabożeństwie idzie starowina na cmentarzyk, i tam od grobu do grobu chodzi i wspomina pomarłych. Tu też czekają na Grzegorza ludzie. Bo gdy wraca z cmentarzyka, to jakoś zawsze weselszy. Powiada, że odwiedził starych znajomych, do których i jemu już droga niedaleka. Ludziska garną się do Grzegorza, gwarzą z nim i rozpytują, bo co do rady gospodarskiej, to on jedyny. Stary, doświadczony, nie jednemu też dobrze poradzi i od serca. A gdy spór jaki między sąsiadami, to nie trza i sądu, tak Grzegorz mądrze rozsądzi i bez pisarza i kosztów ludzi pogodzi. To też jak tylko stary z cmentarzyka zejdzie, zaraz go ludzie wiodą do siebie, i goszczą i radzą się jego mądrej, siwej głowy.

Zeszłego roku w kwietną niedzielę jak zwykle był Grzegorz w kościele, a potem na cmentarzyku. Już wracał do domu, w tem gromadka ludzi zabiegła mu naprzeciw.

— Niech będzie pochwalony, rzekł Antoni Sroka, jeden z biedniejszych włościan w Zalesiu.

— Na wieki wieków, odrzekł Grzegorz, a co tam powiecie panie Antoni?

— Ha, nic tam nowego, jeno chciałbym was popytać i poradzić się...

— A dobrze odrzekł Grzegorz, cóż takiego macie?

— Ot widzicie panie Grzegorzu, jakoś z tym moim sąsiadem Jacentym do ładu dojść nie mogę. Jak wiecie nie tylko obejścia nasze sąsiadują, że tylko przez płot przeleźć, ale i pola stykają się przez miedzę. Otóż niedość, że mi się rok w rok Jacenty worywa w moje pole, nie dość, że mi nieraz jakby z umysłu szkodę napędza, jeszcze mu zamało. Napadł mię że ta łączka koło młynówki jemu się należy, że dopiero od rowu co idzie przez moje pole, mój grunt się zaczyna. Ja wyśmiałem go, bo jużto cała wieś wie, że od wiek wieków, jak starzy ludzie zapamiętają ta łączka do moich należała. Wszak i wy

pamiętacie panie Grzegorzu, żem ją wziął w ojcowiznie. Ale jemu to próżne gadanie. Na nieszczęście jakiś pisarzyna podmówił go w miasteczku, i nuż mię procesować. Poszedłem do sądu, jak mię zawołali, a tu każą mi, abym się wykazał, że to moja ojcowizna ta łączka, i żebym na to papiery przyniósł. Boskie pokaranie jakieś z takim sąsiadem.

— No, no, wyrzekł stary Grzegorz, jakoś to będzie. A macie też po ojcach jakie papiery.

— To też to moje nieszczęście, że żadnych papierów nie mam.

— Nic to nie szkodzi, rzekł Grzegorz, oparł się na lasce i podumał chwilkę. Wiecie co, dziś nad wieczorem przyjdźcie do mnie, będę próbował was pogodzić. Będzie tam i Jacenty u mnie, bo staremu nie odmówi. Bóg z wami, a przyjdźcie pewno.

— Bóg zapłać panie Grzegorzu, jakbym ja rad w zgodzie się pogodzić, ta nie włóczyć się po sądach, i czas święty tracić.

Na tem skończyła się rozmowa. Antoni ze swoimi poszedł ku domowi, a Grzegorz za nimi powoli się pomknął. Przeszedł przez środek wioski, minął chatę Antoniową, i zaszedł pod strzechę Jacentego. Jacenty był to najbogatszy w całej wsi gospodarz. Siedzi sobie w chacie, fajkę zakurzył i duma. W tem drzwi się rozwarły i wszedł stary Grzegorz. Jacenty powstał, fajkę odłożył, i począł witać Grzegorza. Bo jużto szanował Grzegorza, jak wszyscy w całej wsi.

— A cóżto panie Jacenty, począł stary, waszego sąsiada procesujecie? a pfe! a czy to kto widział? To wam łakomo na kawał łąki, co zawsze do nich należała? Wam łakomo takiemu bogaczowi, na dobro sąsiada biednego? A dziesiąte przykazanie boże co powiada? Nie pożądaj dobra bliźniego twego!

Na taką przymówkę począł się skrobać w głowę Jacenty i nie wiedział co powiedzieć. Prosi siedzieć Grzegorza, ławę ociera polą, a nie wie co gadać. Język mu zamarł w gębie. Chciał po napitek do karczmy posłać, ale to z Grzegorzem trudna sprawa, bo nie pija on nigdy. Grzegorz tymczasem bystro patrzy w oczy Jacentemu, w końcu tak mówi:

— Ot kręcicie się Jacenty, a słowa nie możecie powiedzieć. Bo jużto krzywdę oczywistą robicie sąsiadowi Żeby wam się

nawet zdawało, że macie prawo, a czyż to nie ma zacnych gospodarzy we wsi? A toż sprosić ich, aby was rozsądzili po Bogu i słuszności. A wy włóczycie się po sądach i nasze gospodarskie zatargi rozwodzicie po świecie całym. Nie wstyd że to?

— Ta jużciż niby słusznie mówicie panie Grzegorzu, ale kiedy to ta łączka rzeczywiście do mnie należy.

— Jakże to znowu do was należy?

— Wszak zapamiętacie Grzegorzu, jak to dawniej ojciec mój jeszcze bydło tam pasali. A jeszcze dawniej dziad mój gruszę tam posadzili, co do dziś dnia jeszcze stoi. A więc rzecz nieochybna, że kiedy, ojcowie łączkę używali, to ta łączka do nich należała.

— Ot plecie się wam Jacenty. Cóż z tego, że ojcowie używali łączki. Była to dobra wola sąsiadów, że pozwalali na to. A co do sadzenia gruszy, to długa historya. Ot przyjdźcie dziś wieczorem do mnie, i tam wspólnie zgodę zrobimy.

— A i owszem, ja rad zgodzie, tylko, że to dziś jeszcze mam iść do miasteczka odebrać pieniądze, to może aż późnym wieczorem was nawiedzę.

— Niech i tak będzie, byleście tylko przyszli. A proszę was o jedno tylko, byście z tym pisarczykiem w miasteczku nie gadali, bo on gotów znowu was nabuntować. Bywajcie zdrowi Jacenty.

— Do wieczora więc, panie Grzegorzu. Bóg z wami.

Poszedł Grzegorz do swej chaty, i dumał przez drogę, jak tam w wieczór będzie. (D. n.)

Stałość dziewczyny.

Zabrzmiał głośno dzwon kościoła,
Wraca do wsi wiernych rzesza;
Halka zwinna i wesoła
Także z nimi w dom pospiesza.

Lecz gdy weszła do swej chaty,
Coś niemile ją uderzy,
Bo czekają na nią swaty —
I każdy ją okiem zmierzy.....

— O, mój ojcze! cóż to znaczy?..
Ktoś znienacka mię napada —
U mnie w sercu jest inaczej,
Mnie inaczej ono gada.....

Przyrzeczenia już nie zmienię;
Kto je łamie, człek to podły —
Ja innego, ojcze, cenię;
Za innego słałam modły....

— Ależ, córko, przyjmij flaszkę —
Rzecze ojciec — Upij trocha!
— Pić nie będę na igraszkę
Od tych, których się nie kocha.....

— Moja Haluś! — rzekną swaty —
Daj nam słowo, zrobisz terno;
Nasz ma grosik — zuchowaty —
Twój chudziną jest mizerną.

Tego Halka nie wytrzyma;
Rzeknie do nich: Gdzie miłości,
Przytém świętych uczuć nie ma,
O, tam szczęście nie zagości!....

I płacz głośny słychać było,
Gdy Halina wyszła z chaty;
Ojcu w oczach się zaszkliło —
I odeszli z kwitkiem swaty.

* * *

Po nieszporach rznie muzyka,
W karczmie pełno huku, krzyku;
Para za parą pomyka,
Bo tańcujących tam bez liku.

Są młodzieńcy i dziewice;
Wyglądają rezolutnie;
Jest i Halka, jej rodzice —
Lecz wygląda bardzo smutnie.

Jej muzyka nie poruszy,
Sama stoi na uboczu;
Coś jej tęskno, ciężko w duszy,
A i łezka lśni jej z oczu

Chociaż jest ten, co go swaty
Tak gorąco jej raili;
Choć bogate ma on szaty —
Ona lic swych nie rozmili.

Wtém jej serce zokołacze,
Cicho z karczmy się wymyka —
I gdzie brzoza za wsią płacze,
Swego Stacha tam spotyka.

Idź na wojnę! — dziawczę rzecze
Walcz za sprawę, gdy cię wzywa;
Choć nie jedna łza pociecze,
Czekać będę nieszczęśliwa!...

— Pójdę, ale kochaj tkliwie,
Miej mię w sercu, moja droga!
A gdy wrócę tu szczęśliwie —
Pomodlimy się do Boga.....

I uściskał i całował
Kochającą go Halinę:
— Gdyby pan Bóg nie zachował,
Nie rozpaczaj, kiedy zginę!..

Pociemniało pośród wioski,
Halka od stacha odchodzi:
— Ja uproszę Matki Boskiej —
Że ci kula nie zaszkodzi!.. .

* * *

I minęło dni nie wiele,
I nie jedną łzę uronił;
Smutek wielki w całem siele,
Bo żałobnie dzwon zadzwonił.

W chatce Halka w trumnie leży
Ozdobionej w kwiaty strojnie —
Bo słyszała od żołnierzy,
Że Stach poległ tam na wojnie

I nad grobem, nad głębokiem
Rzesza ludzi narzekała;
I żegnała z łzawem okiem
Halkę, która tak kochała....

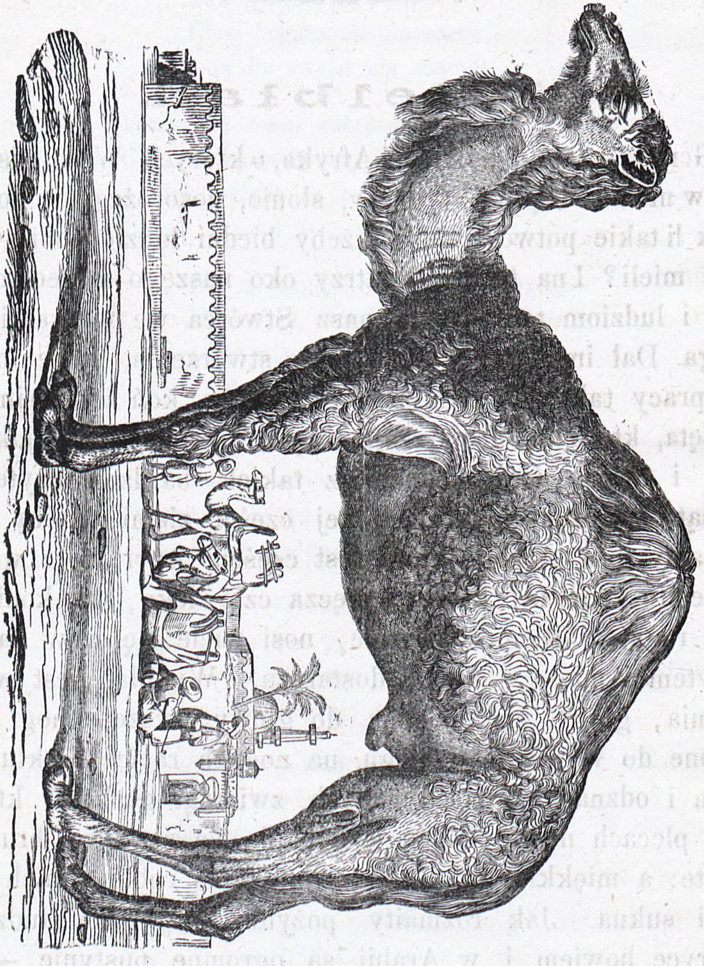
Józef z Bochni.

Wielbłąd.

Gorące kraje t. j. Azya i Afryka, o których Wam pisaliśmy, że się w nich rodzą lwy, tygrysy, słonie, nosorożce, nie posiadają jednak li takie potwory, bo jakżeby biedni ludzie sobie w pracy radzić mieli? I na te kraje patrzy oko naszego wszechmocnego Boga, i ludziom tamtejszym nasz Stwórca we wszystkiem dopomaga. Dał im dlatego także takie stworzenia, które im służą przy pracy tak, jak nam n. p. wół albo koń i dał im takie zwierzęta, które im dostarczają mięsa, mleka i wełny, jak nasze krowy i owce. Otóż jednem z takich bardzo pożytecznych zwierząt w gorących krajach tej części ziemi, którą Afryką nazywamy, i w Arabii, która jest częścią Azyi, żyje wielbłąd.

Jestto zwierzę, które wyręcza człowieka, za konia i za bydło rogate. Biega wybornie, nosi wiele ciężarów na sobie, a przytem i mięsa i mleka dostarcza. Wielbłąd jest większy od konia, głowę ma podobną do głowy owczej, nogi długie, sposobne do wytrwałego biegu, na nogach racice rozkłute, jak u woła i odznacza się od innych zwierząt garbem, który na swych plecach nosi Włosy wielbłąda są szarawo brunatne i kosmate, a miękkie jak wełna. Dlategoteż robić z nich można koce i sukna. Jak rozmaity pożytek mają zeń ludzie! — W Afryce bowiem i w Arabii są ogromne pustynie — kędy spojrzysz, tylko piasek i niebo, a nawet zielonego listka nie znajdziesz na wysuszonym piasku. Gorąco zaś panuje takie, że w gorącym piasku kartofle upiec można. I możesz tak jechać całemi dniami, a nie ujrzysz ani źródła ani trawki. Otóż łatwo możecie sobie wyobrazić, że w takiem gorącu i na piaskach ani koń ani wół żyć nie może. A ludzie przecież objeżdzają te piaszczyste puszcze, które dlatego, że na nich

tylko piasek tak, jak na morzu tylko wodę widać, nazwano morzami piaskowemi, bo wożą tamtędy towary. Strach, co człowiek znieść może! Tam gdzie lody tylko, jak n. p. na Sybirze, mieszkają ludzie, tam gdzie upały, mieszkają ludzie, a na wodzie ludzie się okrętami wożą. Ale jakżeż i czem



mogą się ludzie przez te piaszczyste puszcze przewozić? Wszak okręt po piasku nie popłynie, a koń nie wytrzyma nawet dnia jednego bez jadła i napoju. Otóż Bóg Wszechmogący, co włosy na naszych głowach a gwiazdy na niebie policzył, i na puszczy człowiekowi pomoc i podporę stworzył; a tą pomocą jest wielbłąd. Nie potrzebuje on wiele jadła, garść fig albo dakteli, które się w tamtych krajach obficie rodzą, wystarczy mu na

dzień cały, a bez wody wytrzyma wielbłąd mimo upałów i gorąca cztery do pięciu dni. Trudno jednak człowiekowi samemu puszczać się w tak długą i niebezpieczną drogę. Piasek bowiem, który ten ogromny obszar pokrywa, jest bardzo lekki tak, iż lada wiatr całe tumany niby chmury do góry podnosi i niemi potem zasypuje podróżnych. Dlategoteż miejsca, przez które podróżni przechodzą, zasłane prawie kośćiami ludzkiemi. Ale cóż? — Ludzie żyć chcą, muszą zarabiać, a kiedy już ziemia ich taka, że jej uprawiać nie można, to muszą przynajmniej z żyżniejszych stron towary, jakoto: kawę, cukier i inne rzeczy przez te niebezpieczne miejsca przewozić. Zbiera ich się zatem zawsze większa liczba, czasem więcej, niż sto, zabierają swoje wielbłądy i nuż w drogę. I wielbłąd uczciwy słucha swego pana, klęka na wszystkie cztery nogi i bierze na grzbiet swój towarów, ile unieść zdoła i pędzi na piaski. Słońce pali, piasek pod nogami pali, wiatr gorący wieje, a wielbłąd nie wierzgnie, nie jęczy, ale niesie ciężary i swego pana tam, gdzie mu tenże iść nakaże. I idzie i biegnie dzień jeden i drugi, tylko garstka fig mu wystarcza, a siły go przecież nie opuściły. Pan jego zabrał i strawy dla siebie i wody w pęcherzach, ale z tej wody ani kropla nie dostanie się do suchej gardzieli biednego wielbłąda. W tem robi się coraz goręcej, a zdaleka widać czerwony, jak krew obłoczek. O znają ten obłoczek tamtejsi ludzie! — Oznacza ta mała chmurka wiatr tak gorący, że wszystko spali, gdyby ogień. Ale cóż, człowiek widzi tę chmurkę tylko, a nagle wiatr zawieje i musi ginąć. Ratuje go jednak wielbłąd. Dał mu Pan Bóg dobrotliwy węch wyborny i czego człowiek ledwie okiem dosiągnie, to wielbłąd już zwietrzył i człowieka ostrzega. Kładzie się zaraz w gorący piasek i pysk w nim zanurza. Pan jego wie, co to oznacza i kładzie się także w piasek. I wiatr dąć zaczyna ale dmie po nad wielbłąda i po nad podróżnego, dmie pół godziny albo godzinę a wielbłąd wstaje i ocalił swego pana od śmierci. Nie żąda on za to wdzięczności od pana, nie chce dłużej wypoczywać, lecz wstaje na równe nogi, bierze pana na garb swój i dalej w drogę! — Ale słońce nie zleniwiało — wodę już z pęcherzy wypito, a do miejscca, gdzie jest cień i żródło, jeszcze daleko.

Takie to miejsca nazywają oazami. Otóż do oazy jeszcze daleko a podróżnemu wyschła już ślina w gardle, a pragnienie go trapi. Wodę mieć musi! — I w tej go trosce, i w tem utrapieniu wielbłąd ratuje. Opatrzność dała mu bowiem dwa żołądki — jeden na przechowanie jadła, a drugi na przechowanie napoju. I rzeczywiście woda się w tym drugim żołądku wielbłąda dość dobrze i zimno przechowuje. Dlategoteż podróżny w ostatecznej potrzebie musi się rozłączyć z swem wiernem zwierzęciem i zabija je, by wybrać wodę z jego żołądka i odwilżyć spieczone gardło. Nie zawsze jednak do tego przychodzi. Węch wielbłąda i wodę zwietrzy, a wtedy całe towarzystwo podróżnych, które „karawaną“ nazywają, ocalało. Wielbłądy bowiem, gdy zwietrzą wodę, nie dadzą się powstrzymać, lecz pędzą szybko, prędziej od konia, do źródła i piją wody, ile się w żołądku pomieścić może. Jak pięknie muszą te źródła wyglądać! — Zewsząd biały, lekki piasek, jak daleko oko ludzkie poglądnąć może, a tu zielone drzewa, zielona trawa, chaty ludzkie i woda. A jaka ta woda musi być smaczna! — I tak wielbłąd ratuje tyle ludzi, bo zwietrzył wodę, którą siebie i swego pana pokrzepia. — Tak idzie droga przez suche piaski, czasem zielone miejsca, czyli oazy, aż wreszcie podróżni czyli karawana dostają się do celu. Tam oddają swoje towary, nabierają inne i wracają tąż samą drogą do domu. Wielbłąd jednak i w domu nie spoczywa, nie próżnuje, pan go uprzęże, każe mu pracować, a samica musi swe mleko oddawać rodzinie, której należy. A mleko to tak dobre i zdrowe, jak mleko krowie. Także i mięsa wielbłąd swemu panu dostarcza, mięso młodych wielbłądów bowiem takie, jak cielęce. Widzimy z tego wszystkiego, jak wielce pożytecznem zwierzęciem jest ten wielbłąd. Daje mięso, daje mleko, daje odzienie, bo z jego wełny robią sukna, wozi pana swego przez puszczę i ratuje go w niebezpieczeństwach. Ba nawet garb jego jest na coś przydatny — cały bowiem składa się z łoju, który zużytkowują przecież także.

Są jeszcze i innego rodzaju wielbłądy. Są one cokolwiek większe od tego, cośmy Wam opisali i mają dwa garby, a po-

żytek z nich taki sam także, dlategoteż o nim Wam pisać nie będziemy.

Tak więc mamy nowy dowód, jak Opatrzność czuwa nad wszystkiem i jak Bóg miłosierny każdemu człowiekowi pomaga.

Zalew kopalń wielickich.

Nawet cudzoziemcy przyznali naszej Wieliczce pierwszeństwo ze wszystkich kopalń soli na kuli ziemskiej, nawet cudzoziemcy powiedzieli, że nad naszą Wieliczkę nie ma kopalń na ziemi. I rzeczywiście jest ona matką solną ziemi naszej kaszy którą rodzi ziemia nasza, dostarcza ona smaku, a chleb i mięso stają się za jej łaską dopiero strawami.

Znane Wam zapewne odkrycie tych drogocennych i błogosławionych kopalń. — Kinga, żona naszego króla Bolesława Wstydliwego, a córka węgierskiego króla, dała nam je jako ślubne wiano najpiękniejsze dla naszego kraju, który aż do owego czasu soli nie posiadał. Kazała ta święta i błogosławiona pani grzebać na wielkim rynku, wykopano głęboką studnię i natrafiono na najpiękniejszą i najczystszą sól, jaką kiedykolwiek widziano. I odtąd stał się nasz kraj bogaty, było zboże, było piękne bydełko, były urodziwe konie i otrzymaliśmy sól, jakiej nigdzie nie ma. Cudzoziemcy zazdrośnem okiem patrzyli na nasze bogactwa, byliśmy bo też bogaci, mieliśmy, czego nam było potrzeba. Byliby chętnie nasi sąsiedzi odebrali nam nasze skarby, naszę drogą Wieliczkę, ale należało się bronić kraju tego i tej soli, którą nam dala Święta Pańska, która tem pokazała właśnie, że ukochała nasz kraj i naród nasz. Dlategoteż nasi przodkowie, którzy patrzyli na przykład Świętej Kingi czyli Kunegundy, umieli bronić przed cudzoziemcem nasz kraj i bronić naszej Wieliczki. Cudzoziemcy też mieli uszanowanie przed nami i przyjeżdzali i prosili o sól naszą srebrzystą, za którą złotem i srebrem płacili. I kraj nasz był silny i bogaty, dawał sąsiadom rozkazy, kt rych słuchać musieli, a my byliśmy nietylko zamożni, ale także i lepsi, bośmy pamiętali, kto nas ma w opiece, bośmy pamiętali, że nas Matka Boska Częstochowska swym płaszczem otula a Św. Kinga naszej Wieliczki broni.

Ach! jaka też śliczna ta nasza Wieliczka! — Pod ziemią, gdzie tylko krety i robaki żyją, to tam gdyby jakie miasto ludzi pełno, a wszyscy pracują, światełka migotają gdyby okienka domów, a sklepienia wznoszą się ze soli, gdyby kościoły Pańskie. I ludzie tam ochoczy i weseli, pracują gdyby w świątyniach na swe utrzymanie, a gdy spoczną, po dziennym trudzie, to mają się także gdzie pomodlić; w soli bowiem, w czystej, pięknej soli jest wykuta kapliczka, która nabożnego Chrześcianina do modlitwy zaprasza.

I kopią tam już przeszło pięćset lat i wybierają najśliczniejszą sól, a Bóg nasz łaskawy nie powiedział jeszcze: „Tu koniec, tu już nie ma soli“ I ogromne skarby płyną stamtąd do skarbu państwa, a my mamy pod dostatkiem doskonałej soli, bez której żyć nie można, i błogosławimy kraj nasz.

Możecie sobie dlategoteż wyobrazić popłoch i postrach, który powstał, gdy przed dwu laty przy kopaniu buchła niespodziana woda potokiem i zalała cały pokład. Niebezpieczeństwo było ogromne woda popodlizywała ściany i słupy które sklepienie trzymają, a sól się topi! Wszyscy załamywali ręce, bo skarby nasze i ludzie byli zagrożeni. Dlategoteż próbowano wszelkich środków, chciano zatykać jamki, przez które się nieszczęsna woda wydobywała, ale wszystko na nic! Woda z szumem i hukiem wydobywała się, pieniła się, gdyby koń niesforny bez uzdy i płynęła coraz dalej, coraz dalej. Próbowano grzebać kanały, aby tamtędy woda spływała, budowano groble, ale i to nic nie pomogło. Dano dlategoteż zaraz znać do Wiednia, jakie nieszczęście spotkało Wieliczkę. I tam się postraszyli, i przyjechali panowie i konsylarze do Wieliczki i uradzili z zagranicy sprowadzić ogromne pompy, któreby wodę z kopalń wylewały. Sprowadzili też te wielkie, a kosztowne maszyny, ale nieszczęście chciało, że się ciągle psuły i — woda dotychczas nie usunięta!

Wszyscy jednak kochamy nasz kraj i wszyscy przemyśliwali nad ratunkiem naszej drogiej Wieliczki. I znalazł się też właśnie włościanin z okolic Wieliczki, cieśla, imieniem Antoni Bilski który, nie daremnie się w szkole uczył i nie nadaremnie przemyśliwał i zobowiązał się w ciągu pięciu tygodni usunąć

tę wodę, której w dwu latach uczeni panowie z Wiednia usunąć nie mogli. Dał on natychmiast znać o swoim zamiarze do Wiednia, zatrzymał jednak środki do usunięcia wody w tajemnicy. Dlategoteż nie pozwolili mu ratować kopalni. On się tem jednak nie dał odstraszyć, udał się do właściwej władzy, która nad dobrem krajn radzić powinna, i przedłożył swój pomysł. Sejm oddał tę sprawę do zbadania uczonym w Krakowie, którzy też orzekli teraz, że sposób Antoniego Bilskiego, rzeczywiście *w ciągu pięciu tygodni wszystką wodę z kopalń usunąć może.* Miejmy zatem nadzieję, że nasz kochany brat, nasza kość i krew nasza, nasz cieśla Antoni Bilski wyratuje skarby nasze. Cały kraj mu będzie za to wdzięczny, imię jego wypiszą między imionami naszych najszlachetniejszych i najzasłużeńszych mężów, my zaś wszyscy zawołajmy:

Cześć Ci!

Mańko ze Stryja.

Rozmaitości.

Piękny przykład. Z wielką przyjemnością podajemy wam wiadomość którą nam podał ksiądz proboszcz z Jeżowego (powiat Nisko.) Oto gospodarz tamtejszy pan Sebastian Lesiczka pobierał jako naczelnik gminy przeznaczoną mu od gminy pensyę 50 Zł. Obecnie pan Sebestjan całą tę pensyę, co przecie grosz ładny, dla szkółki w Jeżowem odstąpił i darował. A zrobił to w ten sposób: żeby 40 zł. umieścić w kasie oszczęd. na rzecz szkoły, 5 zł. dać organiście, który dzieci uczy, za dwa zaprenumerować Dzwonek dla szkoły, a 3 zł aby na papier dla dzieci obrócić. Pieniądze te już są rozporządzone podług woli szanownego dawcy. Otóż to gospodarz: niedość że z całą żarliwością, i sumiennie jako naczelnik gminy urząd swój sprawuje, nadto nie żąda za to płacy, lecz płacę mu przeznaczoną dla dobra wioski, bo naukę dziatwy ofiarowuje. Cześć ci, panie Sebestyanie, i uznanie za twój piękny czyn.

Na co Bóg stworzył jaskółkę. Tę miluchną ptaszynę kochamy wszyscy zarówno i nikt nie da jej krzywdy uczynić. Zły to gospodarz i godny kary wielkiej, który gniazdo jaskółki zniszczy pod swoją strzechą. Dzieci nasze często karamy za swawolę z gniazdami ptaków, a szczególnie jaskółek, bo to jakby święta ptaszyna. Na wiosnę przyleci wesolutka do starego gniazda, i już radość we wsi, bo wiosna pewna. A wiecie też wiele ona wam dobrego robi? Oto jedna tylko para jaskółek

która swe młode żywi, przez 16 godzin codziennie wciąż lata i młodym znosi żywność. Przylatuje ta para około 600 razy dziennie do gniazdka a wciąż najmniej po 10 robaczków przynosi. Wyrachowali ludzie, że taka jedna familja jaskółek przez lato całe najmniej pół miljona robaczków, much i komarów zniszczy. Wieś więc, która posiada 100 gniazd jaskółczych, pozbywa się tym sposobem najmniej 50 milionów szkodliwych i dokuczających owadów.

Dodatek polityczny.

Francya. Wojna skończona pokój zawarty, i — wojna nieskończona i pokoju nie ma. Dziwnie to Wam się będzie zdawało, iż w ten sposób piszę, ale, gdy przeczytacie to, o czem Wam chcę donieść, to powiecie, że prawda.

Otóż, jak już wiecie, ukłoniła się nieszczęśliwa Francya Prusakowi i zawarła z nim haniebny, ale konieczny pokój. Warunki znacie już także i powiecie sami, że są okropne dla biednego francuskiego narodu. Wiecie także, ze i Rząd nowy nastał we Francyi i że ten Rząd pokój z Prusakiem zawarł, a że Zgromadzenie posłów francuskich i ten Rząd i ten pokój haniebny zatwierdziło. Nie wszyscy jednak Francuzi byli tak do pokoju ochoczy, i nie wszystkim się chciało rękę, która ich biła ucałować. A mianowicie ludność paryska, która przecież więcej, niż półtora miliona głów liczy, pogardziła takim pokojem, a deputowani miasta Paryża powiedzieli w francuskim Sejmie, iż nie pozwalają na takie haniebne zawarcie pokoju. Ale cóż? Rząd, który pokój robił, postarał się o to, ażeby w tym Sejmie więcej było takich, coby go pochwalili i pan Thiers, który jest naczelnikiem tego rządu, zrobił tak, że większość tego Zgromadzenia pochwaliła i rząd i pokój. Ba nawet mieli dość czasu, aby uchwalić karę na biedny Paryż. A kara ta polega na tem, że uchwalili przenieść rząd i siedzibę Zgromadzenia do Wersalu. Jest to miasto koło Paryża, który przedtem mieścił w sobie najwyższe władze rządowe i cesarza. Takiej hańby nie mógł już Paryż przenieść na sobie i powiedział sobie, że nie dopuści, by taką mu krzywdę bezkarnie wyrządzono. Dlategoteż Paryżanie nie długo się namyślali,

jeno chwycili za broń, przyciągnęli na swoją stronę gwardyą narodową czyli francuską obronę krajową (landwerę) i wojsko, napędzili swoich wrogów domowych i utworzyli sobie osobny rząd. Co z tego będzie — to Bóg raczy wiedzieć. Ale nie możemy pochwalić ani rządu i Sejmu, który Paryżan tak podrażnił, ani też Paryżan, którzy robią nieporządki, gdy nieprzyjaciel Prusak jeszcze w kraju i grozi karabinem. Jużto nieszczęście się czepiło tej biednej Francyi, jak bieda płotu. Prusaki ją nabiły, zrobiono pokój, a tu sami synowie kraju zaczynają się za łby wodzić. Dowodzą te wszystkie rzeczy, że Francuzi zapomnieli swój kraj kochać, bo ani wroga z kraju wypędzić nie potrafili, ani też nie umieją porządku u siebie utrzymać. I znowu strzelają i znowu rżną i zabijają, ale nie wroga, nie krzyżaka, nie Prusaka, ale własnych braci. Bóg odwrócił swe zagniewane oblicze od tego kraju, a nieszczęścia stają mu się udziałem.

Prusaki, jak się rozumie, nie leniwie na te rzeczy patrzą, boby im pieniądze przepaść mogły. Dlategoteż nie bardzo im się chce teraz do domu powracać, a nawet książę Fryderyk Karol, który niemi dowodził i już do domu powrócił, wyruszył nazad do Francyi. Jeńców, którzy do Ojczyzny mieli powracać, nie puszczają, a nawet już oświadczyli, że, jeżeli rząd francuski spokoju w Paryżu nie powróci, to oni tam pójdą i spokój zrobią. Co to będzie znowu za spokój! — Niby coś taki, jak między kotem a myszą.

Austrya. Mamy i my Sejm, ba nietylko Sejm, ale nawet i Radę państwa, aby nam dawała prawa, radziła nad tem, coby dla nas było dobre i zgadnijcie: — uchwalała podatki. Zdaje się, że u nas wszystko bardzo dobrze się dzieje — oj, dzieje się, że ledwie wydychać człek może — a Rada państwa tak się o nas turbuje, jak niby macocha o swoje pasierby. Najaśniejjszy Pan zamianował ministrów, a że ci ministrowie nie są zarazem członkami Rady państwa, to zaczęli Niemcy hałas robić, że to ministeryum na nic, ba nawet były minister skarbu Brestel zaczął się skarżyć, że Najjaśniejszy Pan bez pomocy Niemców doradców czyli ministrów sobie przybrał. Rada państwa trwa już dość długo i cóż tam robią, powiecie.

Ot siedzą sobie nasi, jak u pana Boga za piecem, a Niemcy hałasują na ministrów, że drugiemu by już w gardle wyschło. Tymczasem u nas coraz gorzej. Jedno jeszcze, co niby dla naszego dobra uchwalili, jest nowa kolej, która będzie prowadziła z Węgier przez Stryj do Lwowa. Nam z tem to już tak dobrze będzie, że już lepiej być nie może. Cóż bowiem? Będziemy mieli węgierską słoninę, bryndzę, wino, za co wszystko, ma się rozumieć — dobrze płacić będziemy, a od nas będą za psie pieniądze nasze żytko i pszeniczkę złotą kupowali, aby heń daleko za drogie sprzedawać pieniądze. Już to rzeczywiście dziwna rzecz, że panowie deputaci tam we Wiedniu myślą, że nam, Bóg wie, jakie dobro wyświadczają, jak nam nową kolej dadzą. A nasze szkoły, to co? O tem nie myślą, bo z tego tylko rozum przyrasta, a pieniędzy się nie mnoży. A nasze drogi, mosty, to co? — A co ich tam nasze dziurawe mosty i drogi obchodzą, kiedy w Wiedniu się po bruku gdyby po posadzce chodzi. My chcemy samorządu, t. j. ażeby kraj nasz sam się troskał o swoje potrzeby, abyśmy sami, którzy przecież najlepiej wiemy, czego nam brakuje, sobie radzili. Ale gdzie im tam to w głowie. Niemcy to już sobie myślą, że wszystkie rozumy pozjadali, że tu u nas to już nikt nie ma tyle flaków w głowie, aby wiedział, co nam brakuje, a chcą panować nad innymi narodami. I dobrze im z tem — my płacimy podatki, a oni sobie z tego szkoły zakładają i uczą swój lud, a potem naśmiewają się z nas, że nic nie umiemy i wymyślają nam. Wygodnie to bardzo sobie przy cudzym ogniu pieczeń upiec, ale czy to szlachetnie, to my wiemy także. Na tę pieczeń iskry naszej krzywdy padają i osmolą ją jeszcze tak, że im nie bardzo będzie smakowała.

Zajęło się także ministeryum wnioskiem, aby uchwalono podatek na ten rok i pobór rekruta, ale Niemcy te sprawy umyślnie zwlekają, aby się ministrowie zniechęcili i podziękowali za służbę. I znowu będą nowi ministrowie i znowu będzie to samo a my będziemy czekali, aż się Bóg nad nami ulituje i spowoduje, że pozna ta Rada państwa, że i nam się coś należy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.